№ 50. Warszawa, dnia 29 Listopada (11 Grudnia) 1875 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH,

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

KRONIKA ZAGRANICZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

Śnieg i kalendarze. — Przesilenie. — Wydawnictwa. — Obrazy i artyści. — Włochy illustrowane. — Szwajcarya illustrowana. — Rysunki Ludwika Kurelli i Oskara Wiśnieskiego. — Nowy obraz Makarta Bachus i Ariadne. — National Muzeum w Berlinie. — Opłata w galeryach włoskich. — Farby anilinowe. — Izaak Singer i machiny do szycia. — Eljasz Howe. — Przypadki. — Zburzenie starożytnej wieży w Evora. — Wykopaliska w Olimpji. — Dziennik teatralny illustrowany. — Dziennik zdrowia. — Liadan'a Ciocia Teresa. — Bodenstedts Wandlungen. — Pani Hebbel, Teatra prowincyonalne.

Śnieg i kalendarze, polatujące tu i owdzie, zwiastują nadchodzącą zimę, która tego roku wcześniej jakoś nas nawiedziła niż kiedykolwiek i zapowiada się ostrzejszą niż byśmy sobie życzyli. Najsmutniejszy ze wszystkich miesięcy w roku, mroźny Grudzień, ze swemi dniami chmurnemi stoi w progu... Miasta się przepełniają, uciekającemi ze wsi mroków i chłodu, pod gaz i kaloryfery stołeczne. W mglistej dali świeci już dzieciom drzewko Bożego narodzenia, a nam — przyrost dnia, który dziś w zmierzchach i ciemnościach tonie. Jeszcze raz przebywać nam znowu trzeba to przesilenie w naturze, po którem wszystko odmłodnieje i nowego nabierze uroku... W Niemczech też kryzys innego rodzaju, kryzys w pracy, w gospodarstwie pieniężnem, a nawet w wielkich nadziejach i planach. Usposobienie umysłów całkiem listopadowe. Cieszą się ludzie wprawdzie że i tu wiosna przyjdzie po zimie, ale kto wie jak długo potrwają mrozy i zawieje. Kto sobie przypomni owo ogromne ducha rozbujanie które nastąpiło po roku 1871, a porówna je ze stanem dzisiejszym, znajdzie w przeciągu tych lat czterech zaszłą w umysłach i pojęciach różnicę niezmierną. Po 1871 r. Niemcy całe sądziły iż nowe życie rozpoczną, nowych sił nabrawszy, rachowano na wzrost olbrzymi, tak pewno tak śmiało, że eskontowano przyszłość a ta — niestety — zawiodła nadzieje. Miljardy schowały się i rozsypały... a bogactwo narodowe ubytkiem pracy, fałszywemi spekulacyami, na znaczne straty narażone zostało... Nie mówiąc już o innych sferach działalności, w których upatrując zniechęcenie, zwątpienie, czuć się dają, najbliżej nas obchodzące literatura i sztuka — cierpią widocznie.

Mnóstwo nowonarodzonych wydawnictw, niedożywszy dojrzałości, umarło, z ostatnich wystaw artystycznych tek, nadzwyczaj mała ilość dzieł sztuki została sprzedaną, iż przestrach ogarnął synów muz i Apollina, zmuszonych jak prości śmiertelnicy żyć mięsem i chlebem. Skargi są powszechne. Nap różno biedne kunsztu wyzwolonego dzieci, zastosowują się do smaku kapryśnej publiki i malują wzdychające jak najpiękniejsze panienki, w jak najatłasowszych sukienkach, z jak najfiglarniejszemi minkami... i to nie pomaga nawet. Ale jakże tu myśleć o sztuce, kiedy dr. Strousberg nawet, zmuszonym był sprzedać swoją galeryę, i — robotnikom około fabryk płacić czem nie ma... nie mówiąc już o Quistorpie, bo ten nie miał galeryi, a likwiduje się i odsiaduje żałobę po świetnych dniach szachrajstw i zabiegów. Książki, mające mniej jeszcze powabu zewnętrznego, ledwie się na świat pokazać śmieją. Rok nawet nowy, nie pobudził wydawców do przedsiębiorstw.

Z publikacyi znaczniejszych rozmiarów, jedne Włochy illustrowane, wydane w Stuttgarcie, nadzwyczajne zdają się mieć powodzenie, bo w chwili gdy nakładca ich, przedsięwziął w tej samej formie i przez tychże artystów, dalej ciągnąć zupełnie podobną im— Szwajcaryą — zjawiły się prospekty, na drugą Szwajcaryę, Monachijsko-Berlińską, która jest najwidoczniejszą kopją i naśladowaniem Włoch.

Przeciw konkurencyi protestować trudno, każdemu wolno ją przedsiębrać na własne ryzyko — ale tu — przyjęcie formy, planu, idei, jest tak widoczne iż na plagjat zakrawa. Będziemy więc mieli dwie wspaniałe Szwajcarye Kaden'a i Gsell-Fels'a do wyboru. Z prospektów wnosząc, zawsze byśmy woleli oryginał niż naśladowanie. Włochy, o których już niejednokrotnie wspominaliśmy, są bardzo piękne, szczególniej artystyczna ich część, nic nie zostawia do życzenia. Pomiędzy artystami illustrującemi, znajdujemy imię Ludwika Kurelli i znanego w Berlinie Oskara Wiśnieskiego. Kurelli sceny włoskie, nieustępują najlepszym rysunkom innych artystów. Wiśnieski, który szczególniej obrazki militarno-dworskie, pruskie i berlińskie rysuje i maluje z talentem, we Włoszech jakoś nie czuje się w domu. Pomiędzy tekstem a rysunkami dzieła, nie ma ścisłego i koniecznego związku: może to i lepiej, bo artysta jest swobodniejszym, a pisarz nie potrzebuje też gonić za illustratorem. Oba dają swój pogląd na kraj, a jeden drugiego dopełnia bez niewoli i przymusu. Z ostatniemi zeszytami Włoch, otrzymaliśmy prospekty na Szwajcaryę... Są to najpiękniejsze podarki noworoczne, na jakie się zdobyło wydawnictwo niemieckie, smakiem w wykonaniu przynoszą mu one zaszczyt, a sztuka drzeworytnicza dosięga tu, najwyższej doskonałości. Niektóre zwłaszcza rysunki swobodą i śmiałością, przypominają akwaforty, i są widocznie w tym sposobie z umysłu traktowane.

W świecie artystycznym, nowy obraz słynnego kolorysty Makart'a, zyskuje nadzwyczajne pochwały. Niektórzy przenoszą go nawet nad Katarzynę Cornaro, która zdawała się świetnością barw i wdziękiem, być ostatniem słowem mistrza. W „Bachusie i Ariadzie," ten urok kolorytu posunięty jest wyżej jeszcze może i Makart staje tu na równi z mistrzami weneckimi, których jest wychowańcem. W Katarzynie Cornaro przypominał się Paweł Wernеńczyk

tak żywo, iż naśladowanie zdawało się umyślnem i dobrowolnem; w „Bachusie i Ariadzie“ taż szkoła znowu cechuje całą kompozycyą. Bądź co bądź Makart należy dziś do najznakomitszych europejskich kolorystów, a w rysunku nawet coraz staje wyżej.

W Berlinie, oprócz nabytków nowych, któremi się zbogaciło Muzeum, a między niemi są wysokiej wartości dzieła (portret mężczyzny przez Velasquez'a, i starzec z goździkiem Van Eyck'a), otwierają na wiosnę przyszłą, kończącą się właśnie Galeryę-Narodową, (National-Galerie). Samo nazwanie świadczy o celu, jaki sobie założono. Budowa z wielkiem staraniem i smakiem wykonana, jest wspaniałą i liczyć się będzie do najpiękniejszych w Berlinie, stojąc godnie obok kreacyi Schënkla. U wnijścia stoi pomnik Fryderyka Wilhelma IV. Dla zwiedzających galerye włoskie i mających w nich studya odbywać, nie od rzeczy być może przypomnieć, iż dotąd bezpłatnie otwarte galerye, jak Florenckie, od nowego roku tylko za opłatą franka od wnijścia, będą dostępne. Dla artystów jednak uczyniony być ma wyjątek, i młodzież udająca się do Włoch, w świadectwa na ten cel opatrzoną być powinna; kosztowne utrzymanie muzeów, stan finansów włoskich, może to uczyniły koniecznem, ale dla wielu opłaty te stać się mogą uciążliwemi i przechodzą do swobodniejszego studjowania. W muzeach niemieckich są dnie wyznaczone wolne od opłaty, — w innych zaś, jak w Dreznie naprzykład, aż do pół talara cudzoziemcy za wnijście płacą.

(d. n).

NAD MORZEM.

O! jaka cicha noc! jak marząca!
Odgłosów ludzkich zamilkł już gwar,
I tylko fala o brzegi trąca,
Słania się miękka, jasna i drżąca,
Bo księżyc na nią rzuca swój czar.

Tam, na wybrzeżu, snują się cienie,
Tkliwych słów dźwięczy powabny szmer,
I pocałunek... uśmiech... westchnienie...
Fala coś szepcze, jak pozdrowienie...
Księżyc się śmieje wśród czystych sfer.

Dziwną harmoniją zabrzmiały dzwony,
Głosząc miniony północy czas,
W tysiące dźwięków ton przedłużony
Cichnął... i wracał echem wtórzony,
Zanim ostatni zajęknął raz.

Patrzę na ziemię słodko uśpioną,
I w sercu mojem wzmaga się żal...
I niebo dla mnie księgą zamknioną...
A więc źrenicą łzami przyćmioną,
Gonię z tęsknotą za brzegiem fal.

Z wodami księżyc igra i pieści,
Spokój, sen, błogość w około mnie —
Tylko w mem sercu drży jęk boleści...
Cóż to wśród ciszy smętnie szeleści?
To łódka jakaś samotna mknie.

Łódko samotna! myśmy siostrzyce,
Jednaką dolę snać los nam dał,
I ciebie gnają jakieś tęsknice,
Przez wiry nieszczęść, zdradne ławice,
I ty rozbijesz się, pośród skał...

W bezsennej nocy cichej godzinie,
Do smutnej łódki wyciągam dłoń,
Łzawe spojrzenie topiąc w głębinie...
Ah! bo me życie tak samo płynie,
Jak ta samotna łódka przez toń!...

Neapol, d. 19 Czerwca 1875 r. *Marya Szeliga.*

ŚWIAT SERDECZNY

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Marrené (Morzkowską).

(Dalszy ciąg).

Feliks westchnął w duchu, nie czuł bowiem wcale, by los jego był godzien zazdrości, jednak roztrzepany Luś wcale nie spostrzegł tego. W dobrej wierze zapalił cygaro i przyglądając się po kolei wszystkim sprzętom mówił dalej:

— Szczęśliwy! wszystko ci sprzyja, słyszałem że się żenisz.

— Tak — niby, bąknął gospodarz domu, wołał bowiem by o jego małżeństwie mówili ludzie, niż on sam.

— Nie wypieraj się, nie wypieraj, panna podobno ładna i bogata.

— Na te ostatnie słowa Feliks ciekawie nastawił uszu.

— Zkądże wiesz? zapytał z niezwykłą skwapliwością.

— O bogactwie Drobińskich wiedzieć muszę, przecież mieszkam koło ich gniazda w N.

— I znasz tego bezdzietnego Drobińskiego?

— Pana Salezego, ma się rozumieć! Jest to mój pacyent, ale jaki pacyent! ba! żebym miał takich dziesięciu, tobym nie długo tak sobie przystroił apartament jak ty! Ale cóż, kiedy on jeden taki i pomimo całą moją sztukę nie długo pociągnie.

— Alboż on tak bardzo stary? pytał dech zatrzymując pan Feliks.

— Nie pociągnie i miesiąca, odparł Luś z obojętnością cechującą doktorów rzemieślników, którzy w cierpieniu bliźnich widzą jedyne źródło dochodu.

— I on jest rzeczywiście tak bogaty?

Luś dla lepszego wyrażenia wielkości majątku pana Salezego kręcił głową z admiracyą.

— Ho! zaręczam iż tego co on posiada starczyłoby dla kilku.

— Ale komu się to wszystko dostanie, wybuchnął znowu pan Feliks.

— Komu? otóż mi nielada pytanie, są tam tacy co na to dybią.

— Jakto! przecież ma rodzonego synowca w Warszawie, to samo nazwisko — liczna rodzina.

— Wiem, wiem, sukcesya jego interesuje cię tem więcej, iż żenisz się z jego córką. Tylko kto wie czy ją dostanie.

— Ale dla czegoż?

— Dla czego, nieocenione pytanie, wiesz przecież że gdzie żer tam się kruki zlatują, a kruki są w Drobinie oddawna.

Biedny Feliks aż załamał ręce.

— I czegóż ten Drobiński nie pilnuje swoich interesów? zawołał tragicznie.

— Bo stary Salezy nie lubi rodziny w domu, i zakazał wyraźnie by się nikt do niego nie zgłaszał — wiedzą o tem wszyscy w okolicy.

— Ależ w chorobie.

— Nie turbuj się, ma on takich co go dopilnują.

— Nie trzeba żeby go pilnowali, właśnie nie trzeba.

Feliks wyrzekł to z taką zajadłością, iż Luś uśmiechnął się mimowoli.

— Na to nic nie poradzisz, odparł filozoficznie, zresztą bardzo być może iż owe pilnowanie nie na wiele się przyda, mnie się zdaje że stary zadrwi ze wszystkich.

— Ze wszystkich! przecież nie z synowca.

— Tego nie wiem, mówią jednak głośno, że ma na sumieniu jakieś grzechy, że skrzywdził synowicę oraz jakiegoś pupilka i że zapewne będzie chciał w testamencie to nagrodzić.

— Synowicę powiadasz, czy ona przypadkiem nie umarła poszedłszy za mąż. Czy nie zostawiła córki?

— Być może, rozumiesz dobrze iż jako doktorowi nie wypada mu się o testament dopytywać, stary gotów zwątpić o mojej nauce i posłać po innego doktora. Ale, ale.... przypominam sobie, podobno się tam bardzo lękali jakiejś młodej i ubogiej kuzynki, którą stary chciał do siebie wprowadzić.

— Ani chybi, to Stasia.

Luś obojętnie wzruszył ramionami.

— Ha, wyrzekł, mnie już nic do tego, nie wiem kto ona, ani jak się nazywa, powinieneś być lepiej ode mnie obznajmiony z rodziną swojej przyszłej żony.

— Hm! mruknął pan Feliks mocno zaniepokojony odebranemi wieściami, jeszczem się przecież nie ożenił, a w podobnych rzeczach do ostatniej chwili namyślić się można.

Gość popatrzył przez chwilę na gospodarza domu i zapewne dostrzegł w jego twarzy potwierdzenie swoich przypuszczeń, bo zawołał z uśmiechem.

— Rozumiem, ociągasz się na sukcesyę, masz wielką słuszność — takie głupstwo jak ożenienie popełnia się raz w życiu, trzeba więc dobrze uważać by się nie dać oszukać. Sukcesya to prawdziwa zasadzka, nuż ominie a żona zostanie.

Wyjawiał on po swojemu cynicznym językiem, najskrytsze myśli pana Feliksa, a przecież to nagie określenie położenia, sprawiło mu pewną przykrość. Nie kochał Eligji, w ogóle nie myślał bawić się w miłość ani w tym podobne rzeczy, i z pewnością nie ożeniłby się bez posagu, a jednak własne zamiary i zasady raziły go w ustach Lusia. Byłaż to hipokryzya lub też lepsza uśpiona część jego natury, oburzała się w skrytości na to co chciał popełnić? Ludzie bywają często gorsi niżeli się wydają, ale czasem bywa wprost przeciwnie. Nieraz uczucia i skrupuły zapomniane leżą gdzieś na dnie dawno ukryte, odzywające się od czasu do czasu aż wreszcie wybuchną niespodzianie.

— No cóż czy nie tak? mówił dalej Luś niezrażony milczeniem towarzysza, odgadłem cię, nieprawdaż? Ze mną przecież możesz być szczerym, rozumiem dobrze położenie, na twojem miejscu postąpiłbym tak samo.

I znowu to asymiliowanie go do poziomu Lusia wydało się wstrętne Feliksowi, nie miał jednak żadnego prawa się na to oburzać. Nie przerywał więc niczem gościowi swemu, a ten ciągnął dalej:

— Dyablo bo teraz trudno na świecie. Na tobie tego nie znać; miałeś środki zapewne, pomoc od rodziców, więc odrazu wypłynąłeś na wierzch. Ale ja....

— Wszakże sam mówiłeś że ci się nieźle powodzi.

— Tak, tak, nibyto, żyje się, ale co pracy, co trudów na zarobienie nędznego rubla. Wszystkie większe korzystne punkta zajęte. W Warszawie źle, i na prowincyi nie lepiej. Szlachta podupadła, nie pije, nie zgrywa się, mało choruje lub leczy się ziółkami w domu, a doktorów jak grzybów po deszczu. Doprawdy aż strach pomyśleć co to dalej będzie. I jeszcze jak na złość w każdej okolicy zdarzy się jakaś sława, jakiś luminarz i taki to już wszystkie najlepsze praktyki zagarnia. Gdyby nie mój pan Salezy...

— To tak samo jak w Warszawie, westchnął Feliks.

— I żaden z tych luminarzy nie myśli młodszym z placu ustępować, ale chociaż stary, spracowany, leczy i leczy, i nawet się epidemji nie boi, a jak na złość dyabli ich nie biorą.

— To prawda, powtórzył Feliks.

Ale znowu to echo własnych marzeń, wyrażonych z tak dobitnym cynizmem, sprawiło na nim wrażenie szyderczego zwierciadła.

— A co to będzie dalej, lamentował Luś, wszakże co rok nowych uczniów przybywa na wydział lekarski, co rok uniwersytet wydaje nowe doktorskie patenta. Należałoby rzeczywiście ażeby rząd się w to wdał i ograniczył liczbę wolno-praktykujących lekarzy. Bo inaczej co my zrobimy?

Kwestya ta nieraz w całej swojej grozie ukazywała się panu Feliksowi, nie podobna mu więc było zaprzeczać genialnym pomysłom swego kolegi, i w takt z nim kiwając głową powtórzyć musiał.

— Cóż my zrobimy?

Chwilę siedzieli obadwaj zatopieni nad tym smutnym problematem.

— Sądziłem, odezwał się wreszcie gospodarz domu, że na prowincyi musi być lepiej.

— Ii..... odparł Luś pogardliwie, powtarzam ci, szlachta podupadła, a cóż to ja mam chłopów leczyć?

W wyobraźni Złocica fakt ten nie wydał się tak monstrualnym jak Lusiowi; przypomniały mu się zasady w których był wychowany od dzieciństwa, przypomniały proste wdzięczne twarze, otaczające nieraz matkę jego.

— Ha, wyrzekł oględnie, chłopi stanowią większość narodu.

— I cóż z tego, oburzył się Luś, piękna mi perspektywa pojechać kawał drogi nędznemi szkapami, wejść do brudnej chaty gdzie cygara z ust wypuścić nie można. Ha, za to niech płacą przynajmniej, ja nie jeżdżę do chłopa taniej jak za trzy ruble i to nie dalej jak milę.

— A jeżeli, zaprotestował lepszy instynkt pana Feliksa, jeżeli on nie ma trzech rubli?

— A mnie co do tego, przerwał energicznie Luś, czy to ja obowiązany jestem się poświęcać? Wolę siedzieć już w mieście, gdzie przynajmniej mam preferansika u apterza lub proboszcza. Więc jak mi z góry nie złożą trzech rubli nie jadę wcale i kwita. Z początku przychodzili prosić, płakać, stękać, ale jak się przekonali że to daremnie, że ja się nie dam oszukać, to już albo płacą albo dają mi pokój.

Bezwątpienia, Luś był w swojem prawie, na jego miejscu pan Feliks który tak dumnie przyjmował ubogich pacyentów byłby zapewne tak samo postąpił, jednak ponieważ daleko łatwiej bezstronnie sądzić bliźnich niż samego siebie, ten sposób zapatrywania się na kwestyę obowiązków lekarskich, wydał mu się twardym i nieludzkim. Nie uznał jednak za stosowne podzielić się tą uwagą z kolegą, i zamiast tego, postawił mu nierównie praktyczniejsze pytanie, czy dużo podobnych trzyrublówek otrzymuje.

Pokazało się jednak z odpowiedzi pana Lusia, że i tutaj ubiegali go sławniejsi koledzy i że takowe tylko wypadkiem lub w czasie nieobecności innych lekarzy dostawały się do jego kieszeni. Było więc rzeczą widoczną iż los zawziął się zarówno na Lusia jak i na pana Feliksa, lub też że przyczyny niepowodzenia trzeba było szukać w niedoborach ich własnej natury, chociaż te dla nich samych były niezrozumiałe.

— Ha, widzę z tego, odezwał się po niejakiej chwili nieoględnie młody Złocic, że zawód doktora daleko świetniej wygląda zdaleka niż zbliska.

— Pewno że tak, ludzie nie chcą chorować, trzeba siedzieć z założonemi rękami. I jeszcze ciągle każą nam się uczyć, siedzieć w książkach, śledzić za postępem nauki, dużo nam z tego przyjdzie. Ale ty przynajmniej nie masz czego narzekać, Feliksie, ty opływasz we wszystko.

— Wszakże i ty powiadasz że ci dobrze idzie.

Luś wzruszył ramionami.

— A gdyby mi źle szło to cóż czy mam się z tem chwalić?

Feliks na ten wybuch szczerości odpowiedział wymownem spojrzeniem, a sprytny Luś bez trudności dorozumiał się co to miało znaczyć.

— Czyżby z tobą było tak samo? zapytał.

— Ha! dla czegóż miałoby być inaczej, szepnął młody Złocic, jakby zawstydzony swojem niepowodzeniem.

Nastała chwila ciszy, obadwaj czas jakiś patrzyli na siebie, jak angurowie wzajem zdemaskowani. Aż wreszcie Luś pierwszy wybuchnął śmiechem.

— Czegóż się śmiejesz, spytał trochę kwaśno pan Feliks.

— Bo jak widzę, wzajem nie mamy sobie czego zazdrościć.

— Ależ to wcale nie zabawne.

— Zapewne, widząc jednak że medycyna chleba nie daje, trzeba szukać czego innego.

— Czegoż?

— Ma się rozumieć bogatej żony, być doktorem jest to zawsze położenie społeczne, ofiarując je, możem w zamian żądać posagu.

I znowu rozumowania Lusia nie różniły się ani na jedną jotę od tych które Feliks przekładał matce. Dwaj młodzi ludzie posiadali pod tym względem zadziwiającą jednozgodność i każden w swojem kółku, każden na swoją skalę doszli do jednychże rezultatów.

Ale raz jeszcze to powtórzenie własnych myśli i uczuć, to żywe zwierciadło przedstawiające mu obraną z wszystkich dyalektycznych ułud, jakiemi je przyoblekał jego duchową istotę, sprawiło mu rodzaj nieokreślonego wstrętu. Całe życie sądził się czemś lepszem i wyższem od Lusia, aż nagle ujrzał się z nim na jednymże społecznym szczeblu, na jednemże moralnem stanowisku. To ubodło jego miłość. Jeden i drugi zarówno zawiódł się na nadziei łatwego zarobku, jeden i drugi odrzucał wytrwałą pracę, co jedna zaprowadzić ich mogła do pożądanego celu; a co najważniejsze jeden i drugi postawił sobie za ideał bytu łatwe użycie nie uznając żadnych obowiązków, któreby uszlachetniły ich i postawiły na prawdziwie ludzkiem stanowisku. Jeden i drugi skazywał na milczenie wyższe pierwiastki swojej natury i to podobno stanowiło pomiędzy niemi najgłębszy rys podobieństwa. Tylko u Lusia działo się to bez moralnego gwałtu: pierwiastki te bowiem nie istniały u niego lub istniały zaledwie w zarodku, gdy przeciwnie Feliks zanim stał się czem był, musiał zwalczyć pierwsze nauki wpojone w serce, pierwsze wrażenia i wspomnienia wyniesione z rodzicielskiego domu.

Młody doktór już i tak dość rozdrażniony przed zjawieniem się kolegi, po jego odejściu zapadł w smutniejszą jeszcze zadumę. Nie rad był z siebie i drugich, nieokreślone położenie w jakiem znajdował się z musu w obec rodziny Drobińskich, nieskrywana miłość Eligji zdradzająca się na każdym kroku, kładła na niego coraz nowe obowiązki, którym w głębi ducha nie myślał zadość uczynić.

Czuł iż tym sposobem popełniał rodzaj oszustwa, nie chodziło tu już o więcej lub mniej szlachetny sposób myślenia ale o rozbrat z zasadami prostej uczciwości, a jakkolwiek Feliks Złocic był zepsutym, nie doszedł jeszcze do tej doskonałości, by za jedyny hamulec użycia, uważać czyny podpadające pod kodeks karny.

Postanowił on zdobyć sobie bogatą żonę, fakt ten nawet uważał za konieczność swego położenia, i określając posag swojej przyszłej nie pomyślał nigdy o jej właściwych przymiotach. Nie było przecież dobrej przyczyny, by panna posażna nie miała mu się zarazem podobać, i wzbudzić przynajmniej owo powszechne, przelotne, tuzinkowe uczucie, jakie młoda dziewczyna tak łatwo w młodym człowieku obudzić może, jeśli nie jest zupełnie brzydką lub niedołężną.

Eligija nie była ani jednem ani drugiem, jednakże ona jej miłość, i cała rodzina Drobińskich, coraz mniej przy bliższem poznaniu odpowiadały pragnieniom Feliksa. Być może iż dom ojcowski uczynił go wymagającym bezwiednie, iż przykład pożycia rodziców zostawił w sercu jego ślady niestarte. Być może iż przyczyniła się do tego ta skromna cicha dziewczyna, o jasnem energicznem spojrzeniu i poważnej twarzy: obraz wpił się dziwnie w jego pamięć.

Pomimo całą filozoficzną tolerancyę jaką był uzbrojony, przyszła rodzina przy bliższem poznaniu raziła go coraz bardziej, w miarę jak istotna treść jej moralna wybitniej rysowała się przed nim. Widział z jednej strony pogardę posuniętą do brutalstwa, z drugiej niedołęztwo znikczemnione długą niecnotą, chciwość brudną, skąpstwo, egoizm nieużyty podszywający się pod płaszczyk przezorności ojca rodziny. Dostrzegł zawiść i obojętność pod pozorną zgodą sióstr i tę nieuleczoną nicość inteligencyi cechującą wszystkich bez wyjątku członków rodziny. A wśród której jakby na szyderstwo los rzucił istotę z myślą i sercem, która koniecznie skupiać musiała promienie wzroku, jak światły punkt wśród ciemności.

Jak widzimy więc młody Złocic, jeśli zatracił zmysł moralny co do samego siebie, posiadał go jeszcze względem bliźnich i dla tego łatwiej mu było daleko zgodzić się w myśli na czyn wątpliwej bardzo moralności niżeli go spełnić. W głębi jego ducha istniały wstręty i skrupuły na które nie liczył a które jednak w danej chwili stawały na wspak zamiarom.

Gdybyż jeszcze na dobitkę nadzieje sukcesyi miały być omylone, gdyby Eligija nie wniosła mu posagu którego tak bardzo potrzebował? Było zaiste nad czem się namyślać i powziąść raz stanowcze postanowienie.

To jednak nie było wcale w charakterze Złocica: jak zwykle ludzie chwiejnego umysłu dał powodować sobą okolicznościom, zależał od marnych nieraz wypadków. Nie miał więc odwagi zerwać z Drobińskiemi i narazić się w obec wierzycieli tej plagi swego życia, na groźne następstwa tego kroku. Najczęściej więc po całodziennej walce, wieczorem o zwykłej godzinie szedł do narzeczonej by nazajutrz znowu bić się z myślami i w końcu toż samo uczynić. Tam jednak pomimo woli i wiedzy, więcej spoglądał na

Stasię niż na nią, więcej szukał rozmowy z pierwszą niż z drugą.

Sam pan Kalasanty był teraz czemś mocno zabsorbowany, tak iż mało zwracał uwagi na to co się w domu działo. I on też miał swoich ajentów tajemnych, i był dokładnie poinformowany o chorobie stryja i intrygach jakie go otaczały. Przemyśliwał dzień i noc nad sposobami pozbycia się Schmuców, lub zgubienia ich w opinji starego bogacza.

Ale jakkolwiek myślał i przemyśliwał, rzecz zdawała się niepodobną do wykonania, w obec podejrzliwości i fantastycznego usposobienia pana Salezego. Każde odezwanie się synowca w tym względzie gotów był uważać jako zamach na swoją osobistą niezależność, jako sięganie za jego żywota na majątek, którego do ostatniej chwili chciał być panem nieograniczonym.

W gniewie zaś na złość pozostającej rodzinie mógł wszystkiem rozrządzić na korzyść Szmuców. Nie podobna więc było występować otwarcie a znów z drugiej strony trudno było tak ważną sprawę zdać na los, bo pan Kalasanty wiedział o tem z doświadczenia, że ten sprzyja za zwyczaj tym co umieją sobie sami pomagać, i tym sposobem przechylać jego bezstronną szalę.

Były to kasztany do wyciągnięcia z ognia, chodziło tylko o to, czyjej ręki użyje do tej czynności; po długich wahaniach Drobiński umyślił rozmówić się ze Stasią i spróbować czy ona nie byłaby zdatną do tego.

Dotąd nie zajmował się wcale siostrzenicą, tak dalece, iż nawet nie był uwiadomiony o jej nadziejach przyszłości i pracy jakiej się codzień oddawała w drukarni. Sierota nie czuła się w obowiązku zasięgać jego rady ani poddać się kierunkowi, zrozumiała szybko iż to było daremnem. Zażądała tylko od niego gościnności na czas krótki i do tego programatu zastosowała się ściśle, starając się pobyt w tym domu opłacić tysiącem drobnych usług oddawanych całej rodzinie o ile tylko znalazła chwilkę swobodną.

Pani Pelagji pomagała w gospodarstwie domowem, Józi i Leosi szyła stroje przerabiając i przekrawając stare rzeczy, Eligji doglądała z troskliwością siostry, znosiła łagodnie jej drażliwość, i potrafiła zawsze uspokoić smutki i trwogi rozsądnem słowem.

Pan Kalasanty widząc iż wszystko idzie w domu zwykłym trybem, że kobiety nie swarzą się między sobą, a nadewszystko siostrzenica od chwili swego przybycia nic zgoła nie zażądała od niego, nie wiedział co ma o tem sądzić, i czasem podejrzywał ją że miała jakieś ukryte skarby, to znowu podziwiał skromność jej nawykuień i wymagań.

Ale jak jedno tak drugie wzbudzało w nim szacunek, powoli więc zaczął Stasię wyróżniać od reszty rodziny; odzywał się do niej gdy chciał przeprowadzić jaką myśl rozsądną, a co dziwniejsza strzegł się przy niej wybuchów złości i skąpstwo miarkował, jakby lękał się tego jasnego, spokojnego spojrzenia siostrzenicy. Czuł bowiem że nic nie uchodziło jej uwagi, i że jeżeli wstrzymałaby się zpewnością od głośnej krytyki, wydałaby w głębi ducha sąd na niego. A rzecz dziwna, jakkolwiek Stasia była na jego łasce, sąd ten obchodził go więcej, niż to samemu sobie chciał przyznać.

Powziął wysokie wyobrażenie o takcie i rozsądku biednej dziewczyny a ułożywszy w głowie plan dalszego postępowania, umyślił rozmówić się z nią otwarcie. W tym celu wcześniej niż zwykle dnia jednego, powrócił na obiad, i zaraz wszedłszy zaczął jej szukać po całem mieszkaniu. Ale zamiast jej spotkał Eligiję zalewającą się gorzkiemi łzami.

Nie był to wcale fakt nadzwyczajny, łzy była to zwykła broń najstarszej panny Drobińskiej, szczególniej od czasu, gdy choroba zwróciła na nią baczniejsze oko rodziców.

Właściciel domu na ten widok chciał się niepostrzeżony cofnąć ode drzwi, jednak było już za późno, córka go spostrzegła.

— I czegóż znowu płaczesz? zapytał gniewnie.

— To nic mój ojcze, odparła pospiesznie ocierając oczy.

— Jakto nic, czyś gorzej chora?

— Nic, nic, mój ojcze.

— Panieńskie kaprysy znowu, mruknął Drobiński. A gdzież Stasia? zapytał po chwili rozglądając się w koło.

To pytanie przywiodło do wybuchu rozdrażnioną dziewczynę.

— Tak, zawołała, wszyscy pytają o Stasię, wszyscy się o nią troszczą.

Pan Kalasanty spojrzał ze zdziwieniem na córkę i ruszył ramionami.

— Czyście się pogniewały, wyrzekł, zwyczajnie jak kobiety, co nigdy nie mogą być spokojne.

Eligija milczała.

— No i gdzież ona jest? pytał dalej niecierpliwie.

— Poszła do drukarni jak zwykle, odparła zadąsana.

— A toż po co?

— Albož ojciec nie wie że uczy się zecerstwa.

Rzeczywiście Drobiński nie wiedział o tem wcale, nikt z domowych nie myślał nigdy donosić mu o tem co się działo w czasie jego nieobecności.

— Zecerstwa, zawołał, a cóż ona myśli, cóż to czy jej tu chleba brakuje?

Eligija znowu milczała, nie miała w tej chwili żadnej ochoty usprawiedliwiać Stasi, przeciwnie byłaby wolała potępić ją we wszystkiem, ojciec jednak nie wzbudzał w niej dość zaufania, by się przed nim zwierzyła z jakim bądź wrażeniem lub uczuciem.

— A kiedyż ona powróci u dyabła, wrzasnął Drobiński, nie mogąc doczekać się odpowiedzi, wy wszystkie macie usta zasznurowane kiedy chodzi o to ażeby coś rozumnego powiedzieć, albo to które nie mogło odezwać się o tem drukarstwie, zawsze robicie głupie sekreta.

Córka z łatwością odparłaby ten zarzut, bo nigdy ojciec o nie ich nic pytał, a gniewy bez powodu odbierały całej rodzinie odwagę i swobodę mowy. Stosunek ich jednak był tego rodzaju, iż wolała znieść niesłuszne wymówki jego, niżeli się usprawiedliwiać.

— No i kiedyż Stasia powróci, czyś oniemiała, krzyczał Drobiński zapominając się coraz bardziej.

Eligija milczała uparcie kryjąc twarz w chustkę gdy niespodzianie we drzwiach odezwał się głos łagodny.

— Jestem mój wuju, o cóż tu idzie?

Stasia stała w progu, spokojna jak zawsze. Miała na sobie tę samą czarną suknię, okrycie i kapelusz w których przyjechała do Warszawy, rzeczy te pomimo staranności jej zrudziały i zniszczyły się mocno. Drobiński mimowolnie spostrzedz to musiał i zmarszczył brwi mierząc od stóp do głowy siostrzenicę.

— Czy potrzebowałeś mnie mój wuju? powtórzyła postępując naprzód.

— Naprzód chciałem zapytać gdzie chodzisz? odparł łagodząc głos do zwyczajnego dyapazonu.

— Chodzę codzień do drukarni, gdzie obiecano mi zarobek za parę miesięcy, odparła bez namysłu.

Ta prosta odpowiedź zadziwiła zbitego z tropu pana Kalasatego, nawykł on bowiem do tego, że żona i córki nigdy odrazu nie powiedziały mu prawdy, jednakże wyrzekł wzruszając ramionami.

— A to coś nowego, panna do drukarni, jak żyję nic podobnego nie słyszałem.

Stasia nie sądziła zapewne by rzecz potrzebowała tłomaczenia, bo w milczeniu zdejmowała kapelusz, starannie otrzepując go z kurzu.

— Stasiu, powtórzył z pewną niecierpliwością Drobiński, cóż to dziwactwo ma znaczyć?

— Jakie dziwactwo, mój wuju?

— Miałem cię za rozsądną dziewczynę, tymczasem widzę że i ty masz przewrócone w głowie, jak wszystkie kobiety. I pytasz mi się jeszcze jakie dziwactwo — no ta drukarnia naturalnie.

— Przepraszam wuja, zdaje mi się jednak iż zarabiać na życie jest to rzecz bardzo prosta.

— Panny tego nie robiły i nie robią dotąd.

— To bardzo źle mój wuju.

— Patrzcie jaka mądra, do czegóż to ma prowadzić.

— Do tego aby nie być nikomu ciężarem.

— Czy ci tu źle, mów odrazu, pytał dalej rumieniąc się mimowoli mały człowieczek.

— Tu nie chodzi o mnie, ale o ciebie mój wuju, nie mam żadnego prawa być wymagającą, to co dajesz mi, dajesz z łaski, a ja powinnam sama sobie wystarczyć.

— No tak, słyszałem już te piękne słowa, jesteś kobieta i kwita, więc na siebie rachować nie możesz.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIE Z ARMENII

Alberta Eynaud

wolny przekład z francuskiego

PRZEZ

Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

II.

Po kilku dniach podróżni dotarli do Khinis, i tu zima już królowała na dobre, śnieżnym jej płaszczem pokryły się pola i łąki, trzeba więc było przyspieszyć koniecznie pochód, gdyż lada dzień mogły powstać zimowe burze, które w tej okolicy bywają czasami bardzo straszne. Jeszcze przed wschodem słońca ruszono w drogę, w południe zatrzymywano się tylko godzinkę, a późno w noc szukano w chatach przytułku.

Krajobraz stawał się coraz posępniejszym, niemniej wszakże był pięknym, tylko inną zupełnie pięknością jak dawniej, majestatyczną, smętną i żałobną. Biały całun pokrywał całą okolicę, ścięte lodem strumienie stały nieruchome, nagie i czarne drzewa sterczały niby widma umarłych, a kamienne skały zdawały się wyglądać niby olbrzymie grobowce tej krainy śmierci. Na szczytach skał i nagich gałęziach drzew rozsiadły się kruki, napełniając powietrze ponurem krakaniem.

Smętność przyrody oddziałała na podróżnych, ucichły rozmowy, milczenie zaległo karawanę, słychać było tylko brzęk broni i odgłos kopyt końskich. Jedna Łucya nie traciła humoru. W aksamitnej czapeczce, w kaftaniku obłożonym czarnym futrem, wyglądała prześlicznie. Jasne jej loki, które wymykały się z pod czapeczki spadały na ramiona; przedziwnie odbijając się przy czarnych lśniących włosach

futrzanego kołnierza. Oczy miała pełne blasku, twarzyczkę krasił rumieniec, a z ust wymykały się co chwila żarty z ponurości Tigranesa, iż nie podziwia okolicy.

— Nie jesteś pan patryotą, mówiła, jak można patrzeć tak obojętnie na cuda swej ojczyzny?

Stowart był więcej niż kiedykolwiek oczarowany, goręcej niż kiedykolwiek pragnął powiedzieć pięknej czarodziejce jak ją kocha, usłyszyć od niej stanowcze słowo, lecz codzień więcej się przekonywał, iż musi odłożyć oświadczenie na później.

Około godziny czwartej śnieg obfity począł padać, podróżni mijali właśnie długi wąwóz, gdzie żadnej chaty żadnego schronienia znaleść było niepodobna. Konie poczęły tymczasem ustawać, masy spadłego śniegu utrudniały im pochód, zimno dawało się czuć dotkliwie, zmrok szary powoli zapadał, a do wioski było jeszcze daleko. Na domiar złego, zerwał się wiatr zachodni, podniósł zmarzły śnieg z pod stóp podróżnych, a rzucając jakby tysiące drobnych kłójących szpileczek w ich twarze, utrudniał oddech i niedozwalał nic widzieć przed sobą. Pułkownik chmurny, zamyślony, postępował przodem karawany.

— Zdaje mi się iż grozi nam niebezpieczeństwo, szepnął Tigranes, zbliżywszy się nieznacznie ku niemu, jest to początek *tipi*, będziemy mieli burzę śniegową. Nie widziałem jej jeszcze nigdy. słyszałem tylko o niej wiele, że bywa straszną i bardzo niebezpieczną.

— Jakiegoż rodzaju niebezpieczeństwo może nam grozić? zapytał pułkownik.

— Najprzód konie i muły odmówią posłuszeństwa, nie będą chciały iść dalej, potem my sami oślepieni zawieją śnieżną, straciwszy z oczów wszelki ślad drogi, będziemy zmuszeni zatrzymać się, tam gdzie burza nas zaskoczy i czekać cierpliwie aż minie, zdawszy się na łaskę Opatrzności.

Pułkownik zmarszczył czoło i zamyślił się posępnie.

— Czy długo może trwać podobna burza? zapytał się po chwili.

— Różnie się zdarza, odparł Tigranes, czasami dwie godziny a czasami dwa dni. Powiadają iż samum arabski jest niczem w porównaniu tepi.

W tej samej chwili szalony wicher jakby na potwierdzenie słów Armeńczyka, wyjąc wściekle, zerwał się nagle i podniosły tumany śniegu osypał nim podróżnych; Stowart obejrzał się i spostrzegł jak kilku ludzi z karawany zatrzymało się i skupiwszy się razem, zdawali się naradzać. Byli to wzięci z Persyi przewodnicy mułów, Stowart który rozumiał dobrze ich język a nawet mówił nim trochę, zbliżył się do nich.

— Nad czem radzicie? zapytał niespokojnie.

— Czyż pan nie widzi, że *tepi* zbliża się, odparli mu jednogłośnie.

— Cóż więc przedsięweźmiemy?

Nie trudny wybór, odparł jeden, będziemy to robić co będziemy zmuszeni; staniemy i wśród drogi przeczekamy burzę, konie i muły iść dalej nie chcą trzeba im uledz, nie daj tylko Boże żeby ta zawieja miała trwać długo, bo wtedy biada nam.

Stowart pospieszył do kobiet oznajmić im iż zmuszeni są zatrzymać się chwilowo: pani Morton w której głowie ani powstała myśl najmniejszego niebezpieczeństwa, zsiadła z uśmiechem z muła, pytając gdzie rozbiją namiot. Łucya domyśliła się że coś bardzo złego zagraża karawanie. Zbladłszy lekko, spojrzała na Stowarta badawczym wzrokiem, lecz ten lubo trwoga o życie najdroższej dlań istoty ściskała mu serce, potrafił przybrać tak obojętny wyraz twarzy, iż Łucya nic z niej wyczytać nie mogła.

— Zatrzymamy się nieco, rzekł spokojnym głosem, podczas gdy podawał Łucyi rękę aby jej pomódz zsiąść z konia, muły i konie zmęczone a do wioski jest jeszcze podobno bardzo daleko.

Tymczasem Tigranes zajął się wydawaniem rozporządzeń; na jego rozkaz u stóp jednej z wynioślejszych skał rozłożono dywan, po nad nim rozpostarto płótno namiotu, po czem wszyscy podróżni skupili się pod to sztuczne sklepienie jak tylko mogli jeden drugiego najbliżej. W ten sposób zabezpieczona już niejedna karawana, przetrwała w podobnej ochronie dwudniową nawałnicę śnieżną. Nieraz wszakże zdarzało się, że *tipi* rozszalawszy się trwał dłużej nad dwa dni, wówczas mróz i głód dopełniały swego przeznaczenia, a z nadejściem wiosny pierwszy przechodzień co zapuścił się w te strony, spotykał martwe ludzkie postacie śpiące obok siebie spokojnie w tej samej postawie, w jakiej śmierć je zaskoczyła. Tepi jest tego rodzaju niebezpieczeństwem że walczyć z niem nie można, tylko trzeba się zdać koniecznie na jego łaskę: tę jedną wszakże dobrą posiada stronę iż śmierć którą z sobą przynosi jest cicha i niebolesna. Zebranych w jedno grono ogarnia powoli senność zrazu prawie nie dająca się spostrzedz, ale która zamienia się w końcu w sen wieczny. Straszny dramat konania nie odgrywa się tam wcale, życie opuszcza człowieka bezwiednie, śmierć obejmuje go w swe zimne objęcia zwolna i łagodnie.

Z nocą burza się wzmogła, Łucya siedziała zamyślona pomiędzy Stowartem a panią Morton, ta ostatnia zrozumiała nakoniec iż karawanie zagraża niebezpieczeństwo: poczęła przeto płakać skarżąc się nie tyle na swoją dolę, ile nad losem Łucyi, która miała umierać tak młodo w samym rozkwicie życia. Pułkownik starał się jej dodawać odwagi, lecz i jemu serce się rozdzierało, tylko ta jedynie myśl że ukochana jest przy nim w tej strasznej chwili, łagodziła jego boleść. Co do Armeńczyka i przewodników mułów ci zdawali się być zupełnie zrezygnowani: mieszkańcy wschodu patrzą zwykle spokojnie na zbliżającą się ostatnią chwilę ich życia, przyjmują ją bez łez i skarg, jako rzecz nieuniknioną z którą w każdej chwili spotkać się można.

Zimno jednakże nie dawało się czuć zbyt dotkliwie podróżnym jako zebranym w jedno ścisłe koło, lecz za to głód przypominał się im co chwila. Śnieg nieustawał, godziny mijały leniwie, długie jak wieczność, smutne jak grób. Wśród zebranych pod sztucznym namiotem, głuche panowało milczenie, słychać było tylko przeciągły, ponury jęk wiatru i głuchy łoskot spadających mas śniegowych, ze szczytów skał na doliny. Nieraz po za namiotem, rozległ się jakiś niewyraźny szmer, jak gdyby odgłos kroków zbliżających się żywych istot. Tigranes wówczas podniósł się żywo i wyglądał przez otwór zrobiony naumyślnie w sklepieniu.

— Cóż tam takiego? zapytał go Stowart.

— Podaj mi pistolet, odparł Tigranes, niedzwiedź koło nas krąży.

Słowa te silne wywarły wrażenie na wszystkich, a mianowicie na Łucyi. Myślała ona z zupełnem poddaniem się, iż może wkrótce przykryje ją biały zimny całun, że znajdzie grób w tej kryjówce, lecz tego drugiego wszakże niebezpieczeństwa, które tak niespodzianie jej zagroziło, nie mogła równie spokojnie przyjąć. Krew ścięła się w jej żyłach, w oczach pociemniało, zbladła, zachwiała się i padła zemdlona na ręce pani Morton. Gdy po niejakiej chwili przyszedłszy do przytomności otworzyła oczy, spojrzała naokoło siebie, usiłując przypomnieć co się z nią stało. Ciemność nocy nie dozwalała jej rozpoznać gdzie się znajduje, czuła tylko iż ją ktoś unosi, lecz kto i gdzie tego odgadnąć nie mogła. Śnieg padał wciąż, zimny i ostry wiatr chłostał jej twarz, targał włosy i suknie, nie czuła by ją co bolało, ogarniała nią tylko dziwna bezwładność, której oprzeć się nie miała siły. Oczy jej mimowoli zamykały się, powieki same opadały jak to bywa wtedy gdy sen nami owładnie, chciała je otworzyć, nie mogła: chciała krzyknąć, słowo przemówić, podnieść rękę i to nawet było jej niepodobnem. Wreszcie uczuła iż złożono ją na czemś miękkiem, tchnienie cieplejszego powietrza owiało nią miłe sprawiając wrażenie, usłyszała jak gdyby szept prowadzonej blizko niej rozmowy. Sprobowała otworzyć oczy, tym razem powiodło się jej lepiej, spojrzała na wpół sennym jeszcze wzrokiem i ujrzała przed sobą panią Morton, która z płaczem rzuciła się ku niej: to przywróciło jej ostatecznie przytomność.

— Myślałam żeś już umarła! zawołała okrywając Łucyą pocałunkami. Stowart, Tigranes, przewodnicy mułów, słudzy, jednem słowem wszyscy byli przy niej, a nieco dalej przy wielkiem ognisku rozłożonem na kamiennej posadzce, grzało się kilku wieśniaków armeńskich.

Łucya nie wiedziała sama co myśleć. Czy to sen, czy to jawa? pytała siebie zdumiona.

Wspaniałe arkady, kolumny, na wpół poobalane posągi otaczały ją w okół: po nad nią było sklepienie ozdobione rzeźbami, to zdawało się być dawną jakąś świątynią. Gdzież zatem była, czyby w jakiejś dawnej pogańskiej świątyni?

— Jakim sposobem dostaliśmy się tutaj? zapytała po chwili osłabionym głosem, zwracając się do pułkownika.

Stowart zbliżył się uradowany, ujął jej rękę i usiadłszy obok począł opowiadać, że Tigranes strzelił do niedźwiedzia lecz nie trafił. Było to wielkiem dla nas szczęściem, mówił patrząc uważnie na Łucyą; jak gdyby lękał się aby powtórnie nie omdlała.

Raniony zwierz rzuciłby się był niezawodnie na nas, tak zaś wystraszył się tylko i uciekł co prędzej. Strzał nie był wszakże wydany na próżno, sprowadził nam bowiem pomoc bez której bylibyśmy niezawodnie zginęli wśród tej burzy, która jeszcze szaleje w dolinie.

— Oto nasz zbawca, dodał zwracając spojrzenie ku ognisku, gdzie grzali się jeszcze wieśniacy, i wzrokiem wskazał jednego z pośród nich, który stojąc nieco na uboczu różnił się od innych ubraniem.

Łucya poznała Selima Agę.

Ten postąpił zwolna kilka kroków, chciał ją widocznie powitać, lecz pani Morton zabiegła drogę i rzucając mu się prawie na szyję, płacząc poczęła dziękować. Aga zdawał się być zdumionym, a choć obcej rozmowy nie rozumiał, to jednakże znaki wdzięczności mieszały go widocznie.

Za panią Morton zbliżyli się mężczyzni, Stowart, Tigranes, przewodnicy mułów, wszyscy z kolei uścisnęli jego dłoń życzliwie.

— Opatrzność zesłała cię chyba nam na pomoc, rzekł Stowart, gorące dzięki złożyć ci powinniśmy.

— Każdy człowiek ma wypisane na czole swoje przeznaczenie, odparł poważnie Aga, ja raczej powininenem dziękować przewodniej mej gwiaździe, iż sprowadziła mnie na waszą drogę.

To powiedziawszy zwrócił przenikliwe spojrzenie na pannę Blandemer: Łucya przyszła już zupełnie do siebie, chciała się podnieść aby podziękować swemu wybawcy, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa, zachwiała się i upadła napowrót na poduszki, na których złożono ją przedtem zemdloną.

— Kadina ma zapewne skostniałe nogi, odezwał się Selim Aga, trzebaby je śniegiem rozetrzeć.

Pani Morton pospieszyła rozzuć Łucyą, tymczasem z przyniesionego śniegu, nabrała pełne dłonie i poczęła nim rozcierać nogi Łucyi, które wyglądały jak ukute z marmuru, tak były białe i zimne.

— Pani nie potrafisz tego zrobić, rzekł Selim Aga, i uczynił ruch jak gdyby chciał zbliżyć się do Łucyi, ale nagle zatrzymał się:

— Chodź tutaj Ajcha! zawołał, zwracając się do jednego z wieśniaków stojących koło ogniska.

Na to wezwanie zbliżył się dwunastoletni chłopiec, Aga powiedział mu kilka słów w narzeczu kurdeńskim, chłopiec przykląkł u nóg Łucyi, wziął w ręce śnieg i począł nim silnie rozcierać skostniałe stopy jasnowłosej angielki. Po kilku minutach marmurowa ich białość ustąpiła, krew w żyłach poczęła krążyć i maleńkie nóżki przybrały kolor różowy. Łucya chciała je zbliżyć do ognia lecz Selim Aga nie zezwolił, mówiąc iż mogłaby je tym łatwiej potem odmrozić.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

z Niemiec.

(Dokończenie).

Na całej przestrzeni Niemiec, wydawcy i księgarze skarżą się na niepojętą obojętność publiczności na wszelkie utwory poetyczne: romansopisarze jednak nie mogą się uskarżać na brak czytelników. Hackländer, Spielhagen, Auerbach, Robert Waldmüller i tulti quanti, więcej niż kiedy cieszą się uznaniem i względami publiczności niemieckiej. Do liczby uprzywilejowanych dzisiejszych powieściopisarzy, zalicza się niewątpliwie Leopold Kompert, autor *Dziejów ulicy*, *Opowieści z Ghetto* i wielu bardzo romansów w których opisuje charakter i obyczaje starożytnej rasy żydowskiej, tak mało dotąd znane. Dziś dawni władzcy Palestyny zespolili się po części z cywilizacyą europejską i posiedli równie z chrześcijanami prawa cywilne i polityczne, ale obce nam są niemal zupełnie ich obyczaje, sposób życia w łonie rodzin, zwyczaje, sposób myślenia, datujące jeszcze od czasu Izraela i Jakóba;—otóż nowy romans Leopolda Kompert'a, p. n. *W pośród ruin* w tajemnicza czytelnika w ten świat nieznany.

Rzecz dzieje się w małem czeskiem miasteczku którego mieszkańcy żywią w sercach gwałtowną nienawiść do Niemców i ich stosunków. Bohaterem powieści jest bogaty żyd, Jonathan, przemysłowiec, bardzo przywiązany do religji i tradycyi ojców swoich. Jest to człowiek prawy i szlachetny! dobroczynny i pełen tolerancyi, ale tak zajęty interesami iż nie widzi co się w koło niego dzieje, a główną jego wadą jest brak energji i słabość charakteru. Ożenił się z młodą i piękną kobietą, nie podzielającą jego przekonań religijnych, gdyż była wychowana wśród wolnych myślicieli, do jakich zaliczali się jej rodzice i rodzina. Jest to powodem częstych sprzeczek między małżonkami. Mają jedynego tylko syna Bernarda, którego oboje bardzo kochają, ale ciężki smutek ich dręczy, bo chłopczyna jest głuchoniemym.

Jest zwyczaj w Czechach, że dla oswojenia dzieci zarówno z czeskim jak z niemieckim językiem, Czesi oddają czasowo dzieci swoje do rodzin niemieckich a ich dzieci biorą do siebie. Pewien tkacz niemiecki umyślił oddać córkę swoją Maryę-Dorotę do kowala Czecha aby tam nauczyła się po czesku, a w zamian wziął jego dziecię aby z niem mówić po niemiecku. Ale dziewczynka nie chce zostać u kowala, nie chce przestąpić nawet progu jego domu, wołając z płaczem że nie będzie uczyć się po czesku. Głośny jej krzyk usłyszał przechodzący wówczas litościwy Jonathan, żal mu się zrobiło dzieciny, prosił więc kowala aby mu ją powierzył na dzień jeden, że i u niego wszyscy mówią po niemiecku, a tak dziewczynka łatwiej się oswoi z pobytem w obcym domu. Kowal zezwolił. Marya-Dorota tak upodobała sobie w domu bogatego żyda i tyle okazuje współczucia biednemu głuchoniememu, że wkrótce zostaje uważana jakby za członka rodziny i staje się wielką faworytką Belli, żony Jonathana.

Marya-Dorota była chrześcijanką; wyrosła na śliczną jasno-włosą dziewicę z błękitnemi oczami, pełnemi słodyczy i czułości.

Wtem nadeszły wybory do Rady państwa i narodowa nienawiść między Czechami i Niemcami. zbudziła się z przerażającą siłą. Pewnego dnia rozhukane pospólstwo zaczęło ścigać niemieckiego żyda Jonathana, wygrażać mu śmiercią a nie dość na tem chcieli podpalić dom jego. Cudem prawie uniknął śmierci ukrywszy się w domu przyjaciela, ale żona jego Bella, z przestrachu śmiertelnie zachorowała. Umierając prosi przyjaciołki aby powiedziała mężowi, iż ostatnią jej wolą jest aby po jej śmierci pojął za żonę Maryę-Dorotę, gdyż jest przekonaną, że ona będzie dobrą matką dla Bernardka.

Ta przyjaciołka Belli, wdowa, jest prawdziwym typem kobiet ze Starego Testamentu; wyraża się obrazowo i sentencyonalnie na sposób wschodni. Rozumna i silnego charakteru, kobieta ta ma wielki wpływ na Jonathana, którego kocha jak matka. Po śmierci Belli, piękna Marya-Dorota opuściła zaraz dom bogatego żyda i powróciła do ojca, ale zabrała z sobą Bernardka, który tak się przywiązał do niej, iż nie chce jej odstąpić. Jonathan często odwiedzał synka i Maryę-Dorotę; podczas jednych takich odwiedzin, czytelnik jest świadkiem najwdzięczniejszej sceny z całego romansu, gdy te dwa dawno kochające się serca wyznają sobie miłość wzajemną.

Nadzwyczaj oryginalna i doskonale skreślona jest postać Arona. Pewnego razu, wracając do domu, Jonathan zastaje obdartego włóczęgę, biednego żyda, który spędził noc w jego ogrodzie; zawsze szlachetny i litościwy zaprasza go do swego stołu, żywi, odziewa, i daje pieniędzy na drogę. Wtedy ukrywający się włóczęga, daje mu się poznać; to brat jego Aron, wygnany i przeklęty przez ojca, za to, że kiedyś będąc dzieckiem śmiał podnieść na niego rękę. Wiadomo z jak drakońską surowością strzegą swej władzy, jakiego domagają się uszanowania od swoich, żydowscy ojcowie rodzin. Zamiast więc ukarać dziecko i przedstawić mu jego winę, co zapewnie byłoby dostatecznem, surowy ojciec wygnał go z domu, nie dając na drogę nic prócz przekleństwa. Odtąd Aron włóczył się po świecie, najnędzniejszy wiodąc żywot. Opis tego życia nadzwyczaj silne budzi wrażenia; autor wybornie odtworzył przerażającą postać wyklętego, jest ona fantastyczna i oryginalna zarazem.

Ileż tu wydarzeń, trudnych przejść i przeszkód, ale wszystkie mijają szczęśliwie, i jak zwykle w romansach wszystko się dobrze kończy i Jonathan żeni się z Maryą-Dorotą.

Z tej treści widzimy że nie ma tu ani nadzwyczaj zawikłanej intrygi, ani zbyt żywej akcyi któraby nieustannie podbudzała ciekawość czytelnika, to też główną zaletą książki stanowi obrazowość i zajmujące szczegóły rodzinnego żydowskiego życia; sceny już to wzniosłe już rozrzewniające porywające swym urokiem, tak iż skończywszy *Wśród ruin* czytelnik żałuje że powieść ma tylko trzy tomy. W nowym tym utworze p. Kompert dowiódł że talent jego podnosi się coraz wyżej, znać jednak że książka jego jest tendencyjną, że pragnąłby upowszechnić związki żydów z chrześcijankami.

Wyszło obecnie czwarte wydanie *Córki króla Egiptu* napisanej przez uczonego Eber'a. Jak sam tytuł zwiastuje, rzecz dzieje się w bardzo odległej starożytności, w czasach tak różnych od naszych a jednak utwór p. Eber'a nieustannem cieszy się powodzeniem, co dostatecznie dowodzi wysokiej wartości dzieła i talenta autora, który nie dawno powołany został na katedrę egiptologji, w uniwersytecie berlińskim.

Doktór Karol Freiherr z Perl, wydał dzieło bardzo będące na dobie z powodu zamieszek w Hercogowinie, p. n. *Pod jodłami i sosnami*. Są to wspomnienia i opisy ze świeżej jego podróży, skreślone z wielką werwą i talentem. Głęboki dar spostrzegawczy i uczoność autora, stawiają dzieło jego w rzędzie najznakomitszych podróży.

P. Albert Stutzer wydał romans w 3 t. p. t. *Trzy miasta*; jest on napisany w rodzaju powieści angielskich, które niemieccy romansopisarze zaczynają od pewnego czasu naśladować. Wpływ ten oddziałał bardzo zbawiennie na zbyt mglistą wyobraźnię germańskich pisarzy. Trafność i dokładność obserwacyi drobiazgowe i prawdziwe cieniowanie uczuć, dosadność tych tysiącznych szczegółów tchnących prawdą i życiem, te przymioty właściwe pisarzom angielskim obce były dotąd zupełnie romansopisarzom niemieckim. Obecnie zaczynają oni w tym rodzaju sił swoich probować i niektórzy dość szczęśliwie wywiązują się z tego zadania. Do takich należy pan Stutzer. W jego najnowszym romansie p. t. *Trzy miasta* rzecz dzieje się z kolei w Londynie, w Berlinie i w Paryżu, a w swoich opisach i obrazach obyczajowych autor stara się wiernie odtworzyć charakter i usposobienie trzech narodów, których przedstawia stolice. Opowiadanie jest zajmujące, a niektóre szczególniej typy, jak między innemi Francuzki Seaton i Włocha Manotti, doskonale są odrysowane. Doszedłszy do Paryża, Stutzer obrał za tło opowieści wypadki z ostatniej wojny i pożary rozniecane przez komunę.

Fryderyk-Karol-Schubert, romansopisarz i autor dramatyczny napisał nowe dzieło p. t. *Własta*; w utworze tym kwestya społeczna obrabianą jest w ciasnych ramach romansu. Bohaterem jest poeta, bohaterką aktorka, ale obok nich grupuje się i uwija mnóstwo osób należących do najrozmaitszych klas społeczeństwa, a łączące ich stosunki są tak różnorodne że streścić ich niepodobna. Powiem tylko że akcya jest nader żywa i zaciekawiająca, i pomimo wielu przygód, autor zręcznie je wszystkie przeprowadza i rozwiązuje, a zajęcie czytelnika utrzymuje się do końca.

W Niemczech istnieje wiele bardzo utworów tak belletrystycznych jak czysto poetycznych, których bohaterami są Persowie; po większej części są to nędzne romanse, których najmniejszą wadą jest niepodobieństwo. Ale zupełną w swoim rodzaju stanowi nowość bohaterka Persanka i to jeszcze współczesna. Panna Marya Najmajer napisała poemat p. t. *Gourret-ul-Eyn*. Persanka ta jest postacią historyczną, sławną pięknością która dzięki swym wdziękom i wysokiej inteligencyi, znakomitą odegrała rolę na dworze szacha. Była ona w Persyi apostołką wyzwolenia kobiet i założycielką słynnej sekty religijnej *babisów*, która wywołała wojnę domową w 1851 roku. Autorka zajmująco opisuje dzieje tej perskiej bohaterki, styl jej jest świetny, obrazowy i kwiecisty, jak przystoi skoro ktoś opisuje kraj słońca i róż.

Zapowiadają że historyk Rank zajęty jest obecnie przygotowaniem do druku *Pamiętników* Hardenberg'a z lat 1805 i 1806. Po śmierci Hardenberga pamiętniki te złożone były w archiwum państwa: król Fryderyk-Wilhelm III rozkazał aby dopiero po upływie lat pięćdziesięciu były wydrukowane. Czytelniczki „Tygodnika“ pamiętają zapewnie, że Hardenberg, pruski książę i minister, odegrał najważ-

niejszą rolę w wojnie sprzymierzonych przeciw republikanckiej a następnie cesarskiej Francyi; iż był on że tak powiem Pitt'em Prus, jeźli można podawać ministra angielskiego za typ nienawiści przeciw Francuzom. To pewna że wydanie tych pamiętników w obecnym czasie, żywe w całych Niemczech obudzi zajęcie.

Przejdźmy teraz do ostatnich nowości teatralnych.

W wiedeńskim „*Stadttheater*“ przedstawiono bardzo dowcipną i pełną życia komedyjkę jedno-aktową p. t. *Karol Zuchwały*. Autorem jej jest p. Aleksander Landesberg: jako pisarz dramatyczny jest on debiutantem, ale jest weteranem dziennikarstwa a werwa i dowcip jego wielką mu zyskały wziętość. Uwydatniają się one wybornie w tej komedyjce pełnej nader zręcznych zwrotów i oryginalnych dowcipów, chłoszczących niemiłosiernie wybryki kobiet i próżność mężczyzn. Bohater Karol dostał przydomek „zuchwały“ z powodu wielkiej śmiałości do kobiet i zdobywania ich miłości. Głośne oklaski przerywały co chwila grę aktorów, a po skończeniu kilkakrotnie przywoływano autora.

W tymże teatrze przedstawiono nową sztukę Pawła Heyse, p. n. *Honor za honor*. Oto treść jej w krótkości. Bianka de Villarçon, bohaterka dramatu, ma się stać ofiarą intrygi pani Pompadour, która chce ją wydać za jednego ze swoich pochlebców. Co tu począć? Otóż chcąc się ratować młode dziewczę ucieka się do nader śmiałego i ryzykownego środka ratunku. Zwraca się z prośbą do pewnego młodego wojskowego, nazwiskiem Boissy aby ją pozornie zaślubił i razem z nią czas jakiś mieszkał, aby uwierzytelnić w oczach świata to rozpaczliwe postanowienie. Właściwie mówiąc sztuka Hejse'go rozpoczyna się zaraz po zawarciu niby małżeństwa. Czytelniczki łatwo domyślą się rozwiązania; chodzi oto aby mąż „udany“ potrafił natchnąć prawdziwą miłością „udaną“ swoją żonę i aby małżeństwo konwencyonalne, zamieniło się w małżeństwo z miłości. Aby dojść do tego celu, autor napisał cztery akta, w których już to przez bardzo trafne sytuacye, już to przez nader zręcznie ułożone dyalogi, budzi, rozwija i doprowadza do wyznania miłości Biance przez jej skromnego wielbiciela. Uznanie publiczności także równie stopniowo się rozwijało; podczas pierwszego aktu widzowie byli zupełnie zimni, w drugim zaczęło się objawiać zaciekawienie, w trzecim prawdziwe zajęcie a nareszcie w czwartym głośne oklaski rozległy się po sali.

Oprócz powyższych dawano jeszcze w Stadttheater kilka nowych dramatów i komedyi które dość zadowolniły publiczność, oraz tragedyę H. Kleista pod nazwiskiem *Hermanowska bitwa*, napisaną jeszcze w r. 1808. Autor, wówczas oficer pruski został aresztowany przez Francuzów w Berlinie i kilka miesięcy przesiedział w twierdzy; nienawidził też ich i Napoleona do tego stopnia, że czas jakiś nosił się z myślą pomszczenia się za siebie i uciśnione Niemcy. Autor nie zastanowił się jednak że przedstawiciele Niemców w jego tragedyi nie zbyt szlachetną odgrywają rolę, cechą ich fałsz i obłuda, środkiem zwycięztwa zdrada. Autor pisał sztukę swoją w celu rozbudzenia ducha patryotycznego w swoim narodzie i zniewolenia go do oparcia się wpływom francuzkim. Sztuka jego przeznaczona dla sceny wiedeńskiej, ani graną ani nawet drukowaną nie była i dopiero po ostatniej wojnie francuzko-pruskiej przedstawiono ją najpierw w Monachium, potem w Berlinie, w Meiningen a nareszcie w Wiedniu. Sztuka odegrana na wiedeńskiej scenie, bardzo zimno została przyjętą, chwalono tylko dekoracye i kostiumy.

Świetniejszego daleko doznał powodzenia dramat poety norwegskiego Björnsona, p. n. *Bankructwo*. Treścią dramatu są dzieje rodziny spekulanta handlowego, nawykłej do przepychu i zbytku i nie przewidującej że rozkoszne to życie zamieni się niebawem w biedę i niedostatek, skutkiem zbyt ryzykownych spekulacyi ojca. Łatwo pojąć jak ciężko spadłym ze szczytu szczęścia zastosować się do nowego położenia: oswajają się z niem jednak nareszcie a czyste sumienie zapewnia im spokój.

W berlińskiej Akademji śpiewu w obec najwykwintniejszego towarzystwa odśpiewano wyjątki z niewydanej opery *Wilkołak*; napisanej pod pseudonimem Ih. Franz, ale rzeczywiście autor nazywa się hrabia von Hochberg. Jest on członkiem najpierwszej arystokracyi pruskiej i już przed kilku laty przedstawiał na scenie Sztetińskiej wielką operę p. t. *Klaudyna de Villa-Vella*, która wielkie miała powodzenie. Pod pseudonimem Franza wydał wiele nader melodyjnych utworów, które wysoko ceni muzykalny świat berliński. Świetne powodzenie ustępów z *Wilkołaka* tem pochlebniejsze jest dla kompozytora, że wysoce muzykalne zgromadzenie akademickie berlińskie, niezwykło unosić się nad nowościami. Każdy ustęp a szczególniej uwertura przyjęta była grzmotem oklasków, a po skończeniu, wbrew zwyczajom przyjętym w uczonej akademji, przywołano kompozytora. Zdaje się że po tak świetnem przyjęciu, opera hrabiego Hochberg powinnaby niedługo zostać przedstawioną na którejś z pierwszych scen niemieckich. Cesarzowa gorąco winszowała kompozytorowi, wielkiemi obsypując go pochwałami. Autor libretta nazywa się Adami.

Przysłowie mówi „niemy jak ryba“ otóż pokazuje się iż ono mija się z prawdą. Któż z nas słyszał kiedy aby raki, robaki, motyle i t. p. wydawały jakie dźwięki, a jednak kto chce się o tem przekonać że tak jest, niech przeczyta bardzo ciekawą książkę p. Landois p. n. *Głosy zwierząt*. Dzieło to pełne nadzwyczaj drobiazgowych obserwacyi i głębokiej nauki, obfitujące w szczegóły wszelkie przechodzące wyobrażenie, przekonywa niemal niezbicie na mocy mikroskopijnej anatomji, że większa część zwierząt, którym pospolity przesąd odmawia głosu, jest nim obdarzona. Według dowodzeń p. Landois, raki, ślimaki, pająki, muchy, motyle i wszystkie w ogóle owady, ryby, żaby, węże i większa część zwierząt uchodzących za nieme obdarzone są właściwym sobie głosem. Książka ta ozdobiona illustracyami jest jakby wstępem do poważniejszej pracy, przeznaczonym dla profanów: poprzedza ona wielkie trzy tomowe dzieło które po wyjściu z druku będzie ciekawszą historyą naturalną niż wszystkie dotąd istniejące. W tomie drugim autor mówić będzie o głosie ptaków, w trzecim o głosach zwierząt śpiewających a szczególniej o głosie ludzi.

Niedawno temu otworzono w Wiedniu muzeum wschodnie. Jest to nader właściwe w stolicy, którą wiążą ze wschodem tak liczne stosunki przemysłowe i handlowe. Muzeum jest kompletne i bardzo ciekawe; umiano zrobić doskonały wybór składający się po większej części z przedmiotów wystawionych na ostatniej wystawie powszechnej. Muzeum obejmuje czternaście sal przeznaczonych dla Chin, Japonji, Egiptu, Persyi, Turcyi, Tunisu, Marokko, a obok tego muzeum posiada bogatą bibliotekę i obszerną salę do czytania. Nowy ten zakład zostaje pod opieką i nadzorem słynnego orientalisty, barona Hofman'a.

Byłbym zapomniał o szczególnej w swoim rodzaju ale pożytecznej bardzo wystawie, nie obojętnej dla rolników naszych, jaka za kilka tygodni ma mieć miejsce w Altenburgu. Będzie to Wystawa powszechna ziemniaków. Wiadomo że istnieje niezliczona liczba odmian szacownej tej rośliny, spodziewają się że wszystkie okazy będą przedstawione. Pruski minister rolnictwa zawezwał wszystkie istniejące w cesarstwie towarzystwa rolnicze aby przyjęły udział w wystawie, i wszystkie prawie przyrzekły nadesłać okazy wszelkich gatunków uprawianych w ich krajach. Można się spodziewać że wystawa ta będzie nader korzystną dla rolnictwa, wykazując jakie gatunki są najpłodniejsze i najmniej podlegają zarazie.

J.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Kuchenki naftowe w zastosowaniu do grzania żelaz od prasowania.

Zwykła kuchenka naftowa o dwóch ogniskach, ma dodaną na wierzch swojego nieruchomego dynarka, odpowiednią żelazną blachę, na której się stawia żelazo.

Żelazka kwalifikujące się do grzania na nafcie, są z grubego kawałka żelaza ukute, takie same, jak zwykle w Paryżu wszystkie praczki a u nas krawcy używają. Żelazka jednak które świeżo pan Trelle sprowadził tem się różnią od dawniej znanych, iż między ich rączką, z jednej tylko strony przytwierdzoną, a samem żelazem, jest umocowany nadpowietrznie kawałek stosownie uciętej białej blachy, chroniącej rękę praczki od zbytniego żaru rozpalonego żelaza.

U nas żelazka podobne bardzo jeszcze mało upowszechnione, a jednakże własnem doświadczeniem z paroletniego użycia zapewnić możemy, że są o wiele praktyczniejsze od mosiężnych, do których częste dobieranie dusz prędko się przepalających, zwłaszcza płomieniem i żarem z węgla kamiennego, istnym jest podatkiem bez żadnej potrzeby ponoszonym: ustawiczna zaś myśl o rozgrzewaniu ich, wyjmowaniu i wkładaniu w żelazo męczącą pracę dla praczki, która po jednorazowem użyciu żelaznego żelazka, niechętnie wróci do mosiężnego.

Para żelazek jest konieczną do prasowania, ponieważ jak jedno się używa drugie przez ten czas grzać się powinno. Para więc takich żelazek i urządzona do nich kuchenka kosztuje rs. 8 k. 50.

Kuchenka po zdjęciu blachy i założeniu na środek kawałka ruchomej galeryjki, służyć znowu może pod wszystkie rądelki, garnczki, imbryki i t. d.

O bieliźnie.

W poprzednich sprawozdaniach podawaliśmy różne szczegóły dotyczące kapeluszy, sukien, okryć i futer, dopełniające podług najświeższych wymagań mody opisy toalet jakie załączamy na arkuszach z drzeworytami. Obecnie zbliżając się do karnawału, pośpieszamy z opisem bielizny, tak ważne w wyprawach zajmującej miejsce.

W formach koszul małe zaszły zmiany: karczki ciągle utrzymują się okrągłe, ścięte podłużnie, w ząb lub prosto, odpowiednio do skromniejszego albo bogatszego przybrania wstawkami, koronką i haftem. Fasony podane w r. z. w Tygodniku Mód, dziś jeszcze służyć mogą; w tym roku Nr. 15 i 16 poświęciliśmy bieliźnie, dołączając arkusz z krojami.

Do przybrania koszul obecnie najwięcej używane są koronki niciane „eternelles.“ Ta nazwa słusznie im się należy gdyż są bez porównania trwalsze od używanych poprzednio walansjenek, które osłabiają się praniem. Oprócz haftowanych wszywek i szlaczków bardzo modne są wszywki przerabiane w matowe i ażurowe kwadraty „petits carreaux,“ ozdabiane lub przedzielane wykończanemi ręcznie kratkami, robionemi na wyciąganych w płótnie lub batyście nitkach.

W ubraniu spódnic zamiast wstawek zdobią je rzędy falbanek gładkich lub haftowanych, idące jedne tuż nad drugiemi. Kaftaniki, pół-penioary i negliże przybierają

pasami wód i zakładek, haftem, walansjenkami, falbankami i t. p. Negliże zachowały przeszłoroczną formę bluz i gabryelową z pelerynkami lub bez takowych.

Kołnierzyki najmodniejsze są ażurowe wykładane, lub gładkie stojące z mniej czy więcej wywiniętemi rogami, ozdobione koronką lub wstawką z pêtits careaux, odpowiednie do okrągłego lub podłużnego wykroju sukni. Mankiety noszą w różnych fasonach, odstające od ręki lub zapięte.

Najświeższe neglіżyki na głowę są po większej części z wysokiemi główkami, przepinanemi i bufowanemi w najfantastyczniejszy sposób; ubranie dodaje się bardzo sute.

Do znaczenia bielizny używane są monogramy łączone w różny sposób: na obrusach i poszewkach wielkość liter przechodzi ćwierć łokcia.

Czytelniczkom potrzebującym przygotowywać wyprawę polecamy pracownię p. Witkowskiej (Nowy-Świat, Nr. 25), która przyjmuje wszelkie zamówienia na bieliznę, zacząwszy od skromnej aż do zupełnie wykwitnej, ozdobionej koronkami i haftem paryzkim na batyście. Tamże widzieliśmy negliże wełniane, flanelowe półflanelowe i białe z letnich materyałów; pół-penioary i kaftaniki, spódniczki krótkie i z trenami, ściągane z tyłu, odpowiednie do modnych, wązko rozkładających się trenów. Kapy, poszewki i prześcieradła wykończają się podług wskazanych wymagań. Bielizna gotowa którą przeglądaliśmy odznaczała się starannem szyciem i ozdobnem wykończeniem, przy cenach bardzo przystępnych.

Uwagę naszą zwróciły bardzo ładne i eleganckie neglіżyki muślinowe, odrobione podług najrozmaitszych fasonów, przybrane koronką i wstążką. Cena ich jest bardzo nizka, można bowiem bardzo gustowny neglіżyk kupić za rs. 2 — 2 kop. 70, z kolorową wstążką lub aksamitką czarną. Cieniutkie muślinowe czepeczki bez wstążek dla starszych pań lub okrągłe chłopki dla młodych osób są w różnej cenie poczynając od 75 kop. Pokazywała nam pani Witkowska modne krawaty batystowe, formą zbliżone do krawatów męzkich, ozdobione na końcach gałązkami wyhaftowanemi jedwabiem białym, i żaboty muślinowe ozdabiane medaljonami haftu, koronką i wstążką białą lub kolorową przerabianą w deseń.

Zwiedziliśmy także skład bielizny p. Wilczewskiego na Krakowskiem Przedmieściu, zaopatrzony w wielki zapas bielizny gotowej, płótna, bielizny stołowej, materyałów negliżowych, koronek, haftów i t. p. Skład ten doborem i rozmaitością przedmiotów, elegancyą wykończenia równać się może z zakładami zagranicznemi i zadowolić najwybredniejsze wymagania; zaleca się także cenami umiarkowanemi stałemi i wypisanemi widocznie na każdym przedmiocie. Zamieszczamy z nich niektóre odnoszące się do główniejszych przedmiotów.

I tak np. koszule damskie dzienne od rs. 21 do 120; nocne od 36 do 140 za tuzin; szycie prześliczne maszynowe, lub ręczne przy wykwintniejszej bieliźnie. Oprócz wielkiego doboru gotowej bielizny na różne ceny, leżącej tuzinami na składzie pokazywał nam p. Wilczewski około czterdziestu modeli ozdobnych, podług których wykończają się koszule do bogatych wypraw i na pojedyńcze zamówienia.

Kaftaniki gładkie z angielskiego szyrtyngu są po 90 k. półbatystowe z haftami, zakładkami i walansjenką przybierane suto wzdłuż przodów i na rękawach, dochodzą do 9 rs. Penioary z trenami formą gabryelową, przybierane na około u dołu wzdłuż przodów i na rękawach są od 9 do 35 rs.

Spódnice perkalowe od rs. 3 k. 30 do rs. 5, półbatystowe od 4 do 18 rs. przystrojone falbankami gładkiemi i z haftem angielskim różnej szerokości; zasługuje na uwagę to, iż wody i falbany są nadmarszczane tak suto iż z łatwością dadzą się prasować i rurkować. Poszewki haftowane na półbatyście, płótnie i batyście od rs. 11 do 65 za parę.

Widzieliśmy także bardzo ładne chusteczki półbatystowe i batystowe na różne ceny; batystowe haftowane z koronką dochodzą do 35 rs. sztuka. Bardzo tanie są półbatystowe chusteczki z wyznaczonem imieniem lub literami, z haftem zagranicznym, zacząwszy od 50 k.

Haftowane wszywki i falbany rozmaitej szerokości dostać można na łokcie lub sztuczki po cenie odpowiedniej do gatunku materyału na jakim są odrobione.

Chcąc zadowolić najwybredniejsze nawet gusta pań lubiących ozdobne cyfry na bieliźnie, p. Wilczewski sprowadził z zagranicy książkę zapełnioną najrozmaitszemi monogramami w których łączą się z sobą wszystkie litery alfabetu po dwie lub trzy w cyfrze.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Janinie P. w Nowej Grobli. Wierszyk p. t. Pacierz młodzieńca, bardzo ładnie i serdecznie napisany, ale utwory podobne nie są właściwe dla pism peryodycznych, jako służących zabawie pożytecznej. Pani Orzeszkowa mieszka w Grodnie i tam listy do niej winny być adresowane.

Pani Helenie P. Suknie czarne wełniane najmodniej jest ubrać grubą taśmą wełnianą i takąż frendzlą z kwaścików; ubierają ją także jedwabnemi plisami, lub plisą przystrojoną w naszycie z materyału sukni. Rycina Nr. 48 Tyg. Mód podaje na drzeworycie Nr. 1 i 2 i Nr. 24 i 25 wzory tego właśnie rodzaju kostiumów o jakie byliśmy zapytani.

NOWE WYDAWNICTWA.

Bajki La Fontaine'a.

Nakładem Jana Noskowskiego wyszły dwa zeszyty I i V a następne dwa wkrótce opuszczą prasę. W przedmowie tłomacz p. W. Noskowski, usprawiedliwia zapatrywanie się na całe to wydawnictwo, objaśnia tłomaczenia dawniej dokonane i wykazuje konieczność zmian nie w duchu i w myśli genialnego autora, ale w formie odpowiedniej wymaganiom estetycznym. Wydawnictwo to pod każdym względem zasługujące na pochwałę i polecenie, starannie odbite na pięknym papierze, składać się będzie z 58 poszytów, ozdobionych illustracyą ołówka Gustawa Doré, mieszczącą w sobie 85 wielkich rysunków i 500 mniejszych. Cena prenumeracyjna dla Prenumeratorów **Tygodnika Mód** i **Przyjaciela Dzieci**, *o sześć rubli zmniejszona*, wynosi z przesyłką pocztową i opakowaniem:

Kwartalnie . . .	rs. 3 kop. 50
Półrocznie . . .	„ 7 „ —
Rocznie	„ 14 „ —

Biblijoteka illustrowana dla młodzieży.

Nakładem Księgarza Ferdynanda Hösicka, wyszła w trzech tomach, a mianowicie: 1) Złota książka, życiorysy sławnych ludzi, 2) Dobre dzieci, Zacni ludzie, 3) Mały i wielki świat dziecięcy. Z wydania tego starannie dokonanego, zalecającego się pięknym stylem i dobrą polszczyzną, co wielką stanowi jego zaletę, każda książka oddzielnie może być nabywaną. Zbroszurowana kosztuje kop. 90, w ozdobnej oprawie rs. 1 kop. 20.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie spacerowe z aksamitnym paletocikiem. Ciemno granatowa suknia z tuniką zapinaną z tyłu kokardami, której krój podaliśmy na arkuszu dodatkowym do Nr. 45 i 46 Nr. XV kroju Fig. 70. Przybranie stanowią szerokie plisy aksamitne ciemniejszego koloru i frendzla z kulek, kokardy z wstążki lub materyi koloru sukni. Czarny aksamitny paletocik oszyty jest bogatą koronką i wielkiemi szmuklerskiemi guzikami. Kapelusz aksamitny odpowiedni kolorem do sukni, przybrany koronką i strusiem piórem koloru śmietankowego.

Fig. 2. Ubranie spacerowe. Ciemna wełniana suknia odszyta jest z materyału gładkiego i w kratę; na spódnicy idą dwie plisowane falbany; tunika w kratę naszyta trzema gładkiemi plisami i zakończona szeroką wełnianą koronką. Krótki płaszczyk z doublesztoffu obłożony futrem, ozdobiony jest szerokiem naszyciem, złożonem z wązkich plecionek; pod szyją zapięty na metalowe agrafki. Czarny filcowy kapelusz przybrany aksamitem i piórami koloru sukni — mufka z futra odpowiedniego do obłożenia paletota.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 27 Ноября (9 Декабря) 1875 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.